

# Wina i pokuta

(Z angielskiego).

## ROZDZIAŁ I.

### Kleopatra i jej wielbiciel.

— Ach! Boże — jakież to było piękne!... — zawołała Katty, podnosząc błękitne oczęta ku skrzacemu miliardami gwiazd niebu. — A ten rycerz rzymski czy król — strasznie mi się podobał!

— No, wiesz, mnie się twoja pani jeszcze więcej podobała niż on.

Niebieskie oczy jasnowłosej pokojówki błysnęły gniewnie.

— Słuchajno, ja to sobie wypraszam, żeby się tobie kobiety podobały...

Młody chłopak, którego barczysta, krępa postać — przyodziana była w elegancką liberyę, uśmiechnął się chytrze.

— Ale przecież ty mi się także podobasz...

— To zupełnie co innego!... Ja jestem twoją narzeczoną!... I właściwie nie powinnam na to pozwalać, żebyś takie cudne kwiaty rzucał panie Alicyi na scenę!... Nie powinnam pozwalać!...

— Cóż ja mogę na to poradzić? — tłumaczył się John Kidds — skoro mój pan mi każe...

— Ach! ten wariat!... — wruszyła ramionami dziewczyna. — Szkoda jego pieniędzy i tak się to na nic nie zda!

— Tak myślisz? O! to, to byłoby niedobrze. Mój pan chyba naprawdę zwaryowałby!... Jest tak zakochany!...

Pokojówka złagodniała trochę:

— Biedny pan Morton! Żal mi go. Ale moja pani to nie taka, jak inne aktorki, żeby się i z tym i z tamym zadawała!... A powiadam ci, że ona zajęła się tym panem Robertem... tym z Indyi... Należy oczekiwać zaręczyn w najbliższym czasie.

Musieli się usunąć na bok, aby nie tamować przejścia, bo tłum płynął już z teatru szeroko rozlewającą się falą. Migotały różnobarwne narzutki teatralne dam, obszyte futrem lub puchem łabędzim, z osłon koronkowych i gazowych szalów wychylały się zarumienione twarze. Doróżki i automobile zajęły przed teatr, panowie pomagali wsiadać swoim towarzyskom.

Rozmawiano oczywiście o premierze dzisiejszej. Mało wszakże poświęcano uwagi samej sztuce, a daleko więcej znakomitej odtwórczyni głównej roli kobiecej.

— Ach! ta Belmore!... ta zachwycająca Alicya Belmore!...

— Co za artystka!...

— Jaka ekspresja!... ile uczucia, ile prawdy w grze!...

— I jaka piękna!...

Oczy mężczyzn błyszczały, niejedna z pań ocierała sobie ławstową chusteczką łzę, wyściśniętą przez wruszącą grę artystki.

Katty słyszała te słowa zachwyty i czuła się także dumna ze sukcesu swej pani.

— Ach! to było takie piękne! — rzekła. — Szkoda, że się tak smutno kończy!...

— Bo ci głupi autorowie, to najchętniej pokazują takie smutne miłosne historie, a tymczasem najlepiej jest kochać się na wesoło... Nieprawdaż, Katty... Wiesz, jak się już pobierzemy...

Uściskał mocno rękę dziewczyny.

— No, na to przyjdzie jeszcze poczekać... Pobierać się bez pieniędzy — to niema sensu... Chłopak poskrobał się fraszobliwie w głowę.

— Masz rację, ale coż robić?

— Trzeba liczyć na szczęście. Żeby się to trafiło codziennie coś takiego jak dzisiaj?...

— No?...

— Zarobiłam sto funtów!...

John zrobił wielkie oczy:

— Co ty powiadasz!... Zarobiłaś?!

— A tak!...

— W jaki sposób?

— Dostałam od Pana Roberta, kiedy był dzisiaj u nas...

— No ten — musi mieć ciężkie pieniądze!... — I za miliony go nie kupisz!... Dzisiaj przed południem pan Macmorris chciał widzieć się z moją panią... Ale miss Alicya nie mogła go przyjąć ponieważ, ponieważ właśnie wtedy przychodziła kostium... Odszedł taki smutny, a ja patrzyłam za nim przez okno w kuchni... I nagle

widzę, że z kieszeni wypada mu portfel... Naturalnie biegnę natychmiast, portfel podnoszę... Na rogu ulicy dopędziłam go... i oddałam portfel... Był bardzo ucieszony i dał mi sto funtów!... „Ależ proszę wielmożnego pana — mówię — to za dużo!...”

— No wiesz, że to było głupio powiedziane!... — oświadczył John.

— Ja to powiedziałam tylko tak sobie — dla ambicji... Wiedziałam przecież, że mi nie odbierze tego co raz dał... A on jeszcze powiedział: „To znaleźne należy ci się Katty, zarobiłaś te pieniądze uczciwie, bo właśnie podjąłem w banku milion...”

— Milion funtów? I on tyle pieniędzy nosi przy sobie!... O! Katty, gdybyśmy te pieniądze mieli — wystarczyliby nam na całe życie!... To doprawdy grzech i wstyd, żeby jeden miał tak dużo, a drugi nic!... Kiedy o tem myślę, to zdaje się, że mógłbym...

Dziewczyna traciła go.

— Ciszej, nie mów tak głośno...

— Albo co?

— Zdaje mi się, że ktoś przysłuchuje się. Stoi tam za filarem.

John obejrzał się.

— No to i cóż? Nie powiedziałem przecież nic złego.

— Ale mnie się zdawało, że to pan Morton. Zupełnie jego wzrost i taki sam czarny, miękki kapelusz.

— To ci się zdawało... Mój pan jest na zgromadzeniu wyborców, którzy go chcą postawić jako kandydata na swej liście. Gdyby nie to byłby sam w teatrze i nie posyłałby mnie z kwiatami dla panny Alicyi... I.

Urwał. Katty skierowała spojrzenie śladem jego wzroku.

— O! i moja pani idzie i naturalnie z panem Macmorris... A teraz uciekaj, John, nie chcę, żeby miss Alicya widziała nas tutaj razem...

Lokaj zniknął za filarami portalu, a Katty poszła naprzeciw swej pani, zajętej żywą rozmową.

— Doprawdy, że to nie pochlebstwo, nie komplementa — mówił Robert Macmorris, dobrze zbudowany, elegancki mężczyzna, z twarzą spaloną od słońca i nacechowaną wyrazem energii i silnej woli — przeszła pani moje oczekiwania... Była pani wprost przewspaniałą jako Kleopatra!...

— A mówił pan, że pan nie lubi tej sztuki!...

— Nie miałem pojęcia, co pani ze swej roli zrobić potrafił... Zaisie, że duch autora musiał się cieszyć na tamym świecie i dziękować pani!... Wzrokiem zachwyty i upojenia ogarniał jej królewsko wyniosłą postać, którą okrywał jasny sukieny płaszcz.

— Istotnie, rola ta bardzo mi odpowiada — odrzekła tonem, w którym pomimo pozornej skromności czuć było samopoznanie.

— Czyżby i w życiu? — zapytał Macmorris, spoglądając badawczo w jej piękne oczy.

— Co pan przez to rozumie?

— Czy i w życiu chce pani panować nad mężczyzną? tyranizować go? gnębić?

Zawahała się przez chwilę.

— To może nie... — rzekła wreszcie. — W każdym razie jednak nie chciałabym zostać zabawką w ręku kochanego przeze mnie mężczyzny...

— Czyż podobna, aby ktoś, kogoby pani kochać zechciała — zamierzał się panią bawić?!

Palnął ją ognistym spojrzeniem czarnych oczu. Zaśmiała się.

— Ktoż może ręczyć za miłość mężczyzny!...

— A miłość kobiety?...

— To... no dajmy temu na razie spokój... O! i moja służąca...

— Widzę ją, stoi tam pod filarem...

— Jeszcze nas nie zauważyła, tak ją pochłania rozmowa z tym chłopakiem, z lokajem pańskiego przyjaciela...

— Mortona? — twarz Roberta sposepniała. — Morton nie jest już moim przyjacielem... Obawiam się nawet, że mnie nienawidzi. Pani wie dlaczego.

— Niech mu pan tego za złe nie bierze. To przejdzie. Ale — zmieniała kierunek rozmowy, wkraczając na drażliwe tory — to doprawdy nieładnie z pańskiej strony, że nie chce mi pan towarzyszyć do sali hotelu „Splendid”... Obiecałam, że tam dzisiaj coś zadeklamuję...

Macmorris skłonił głowę w pełnym galanterii ukłonie:

— To też z przykrością przychodzi mi wy-rzec się...

— Ale dlaczego właściwie? Nie jest pan przecież zwykle odludkiem...

— Mam powód...

— Czy mogę wiedzieć jaki?

Macmorris milczał chwilę.

— Będzie tam produkował się dzisiaj niejaki Haired-din-bey...

— Znany spirytysta i hypnotyzer... Budzi ogromne zainteresowanie... Na produkcje jego bilety są zawsze rozchwytywane...

— Ja uważam te produkcje za humbug, obliczony na łatwowierność bezkrytycznych tłumów...

— Ale to jeszcze nie powód, aby pan nie mógł mi towarzyszyć... To musi być coś innego...

— Ma pani rację... — zdecydował się na otwartość Macmorris — będę z panią zupełnie szczerym... Ten Haired-din-bey — to kuzyn mojej matki...

Aktorka spojrzała na niego ze zdziwieniem.

— Jakto, ten Arab jest pańskim krewnym?!

— Taki z niego Arab, jak ze mnie Hindus. Człowiek awanturniczego usposobienia, od najmłodszej młodości włóczył się po świecie... Był dłuższy czas na Wschodzie; podobno przyjął nawet mahometanizm — przypuszczam, że dla celów reklamowych... Turban i z arabska czy z turecka brzmiące imię — to działa na publiczność...

— Ach! tak... teraz rozumiem...

— Że nie chciałbym go spotkać w towarzystwie, zwłaszcza, że gotów przypomnieć mi siebie i zacząć...

— Jeśli tak... Ale o! i Katty... do widzenia... więc pan...

Przycisnął usta do jej ręki.

— Dziękuję pani.

— Ach! jesteście Katty!... — rzekła Alicya Belmore — czy długo czekałaś?

— Z jakie pół godziny...

— Niepotrzebnie zresztą. Możesz zaraz wracać do domu.

— A pani, miss Alicyo, czy pani się nie przebierze?

— Nie, to zbyt ciężkie. Idę tak jak jestem do hotelu „Splendid”.

— Mam sprowadzić dorożkę?

— Nie trzeba. To niedaleko, a pogoda tak piękna. Spacer dobrze mi nawet zrobi... Ale... — sięgnęła nagle ręką do kapelusza — zapomniałam mojej szpilki!...

— Tej z rubinem?

— Tak. Zostawiłam ją widać w garderobie.

— Czy poszukać?

— Nie znalazłabyś. Ja sama poszukam.

Katty nie odchodziła jeszcze.

— A kiedy mam przyjść po panią do hotelu „Splendid”?

— Nie przychodź wcale. Po!óż się spać. Ja tam zabawię dłużej, może do rana, bo po koncercie mają być tańce.

— Dobranoc pani, przyjemnej zabawy życzę.

— Dziękuję Katty, dobranoc.

Katty ucieszyła się ogromnie swoją swobodą. Sądziła, że odnajdzie teraz Johna i pospaceruje jeszcze. Ale nadzieje zawiodły ją. Johna już nie było... Natomiast w przecznicy koło teatru dojrzała postać mężczyzny, chodzącego tam i z powrotem, jakby oczekiwał na kogoś. Wydało się jej, że poznaje Roberta Macmorrisa.

## ROZDZIAŁ II.

### W mrokach nocy letniej.

— No, no kogóż widział...

Adwokat Thompson obrócił się zdziwiony, gdy poczuł rękę na swym ramieniu.

— Ach! to ty doktorze!

Doktor roześmiał się jowialnie:

— Coś mi się zdaje, mecenasie, że i ty za nią w trop...

— Za kim? — na sympatycznej, szczerzej twarzy młodego adwokata malowało się zdziwienie.

— Oczywiście za piękną Alicją Belmore... Thompson wruszył ramionami.

— Cóż za przypuszczenie!... wiesz przecie, że dla mnie...

— ...Istnieją tylko fiołkowe oczęta uroczej Molly Morton...

— To też przez nią jestem tutaj.

— Chyba nie jako swat jej brata do miss Belmore?

(Ciąg dalszy nastąpi).